

# Marszałkowska buława Stramy

Ani obcość pola bitwy, ani dziwność towarzysza broń, ani pamięć o dawnych bólach, ani czynny wrzód żołądka - nic, po raz kolejny nic na świecie nie jest w stanie zatrzymać nieomyślnej ręki Edmunda. Także i tu, we Frankfurcie, gdzie Edmund nie był nigdy, dłoń jego, niczym pies gofczy o węchu absolutnym, wolno sunie nad białym stolikiem wprost ku sednu, dochodzi do sedna i obejmuje sedno. Palce delikatnie zaciskają się na pięćdziesięciogramowym szkle. Marszałek biesiadny koronny daje znak, przezroczyta buława wolno idzie w górę, pełne blizn hufce jego wnętrzości przeszywa kamienna cisza oczekiwania. Zaraz się zacznie. Już się zaczyna...

Gdy Edmund dotyka szkłem dolnej wargi, na oczy jego zstępuje delikatna szadź wzruszenia. Wąs kornie się unosi - pola ustępuje. Na licu zaś - choć Edmund dobrze wie, że za chwilę ból będzie wielki - maluje się pastelowa błogość. Ostatni, ocalający wydech. Twarz i cno kielonka zwracają się ku niebu, czterdziestoprocentowa kula płynnego ognia wstępuje w gardło Edmunda. I to jest moment kluczowy. Teraz wszystko się rozstrzygnie. Za mgnienie wiadomo będzie niezbiecie, czy tu, na obcej ziemi, wobec rodaka, emigranta ze Śląska, który przed sekundą był - Edmund okryje się chwałą, czy też nieusuwalnym wstydem? To jest chwila bólu, cierpienia i nieludzkiej niepewności, gdyż ciekły napalm stanął oto w jabłku Adama marszałka biesiadnego koronnego - i nie wiadomo, co wybierze. Czy wróci w formie kompromitującej fontanny? Czy też piekło wnętrzości na zawsze napalm pochłonie?

Kula się waha, Edmund walczy jak lew. Twarz jego jest teraz „Bitwą pod Grunwaldem” Jana Matejki. Trzy wolne palce prawej dłoni, niczym skrzydła motyla, unoszą się cicho wokół pustego, za przyczyną dwóch pozostałych palców dryfującego

w powietrzu, szkła buławy. W zaciśniętej, ku niebu wzniesionej pięści, tkwi rozpaczliwy skowyt mickiewiczowskiego Konrada. „Milczysz! - Jam Ci do głębi serce me otworzył./ Zaklinam, daj mi władzę: - jedna część jej licha./ Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha./ Z tą jedną częstką ileż ja bym szczęścia stworzył!”. I nagle - staje się. Edmund przeżył! Bóg wystuchał lewej pięści. Czterdziestoprocentowa kula płynnego ognia nie wyszła kompromitującą fontanną. Poszła kornie w dół. Jeszcze tylko krótki spazm ciała - echo pod dotknięciem gorzały zdychającego wrzoda. I już. Dalej będzie tylko olimpijska ulga.

Przezroczyta ambrozja polska gładzi kolce zjeżonej trzustki, nieprzytomną wątrobę czule zwraca światu - i Edmund jest zwycięski. Zwycięski, ale profesjonalny. Żadnej pensjonarskiej frenezji! Romantyczna pięść się rozluźnia, pusta buława precyzyjnie-wraca na blat, Edmund zamiera w czujnym oczekiwaniu. Wie, że tu nie o wygranie była, lecz o wygranie całej bitwy chodzi. Jest mocarny. Ma pewność, że to jeszcze nie koniec. Reszty jest jeszcze sporo...

Nie tylko dla piękna tej mistrzowskiej sceny picia gorzały opisuję ją tak detalicznie. Nie tylko po to, by maestrię Jacka Stramy wiecznie, pióro do roboty zaprzęgam. I też nie po to, by starą prawdę powtórzyć, prawdę tę oto, że w teatrze niektóre życiowe jakości są w stanie oddać wiarygodnie tylko ci aktorzy, którzy i w liwym życiu są fachowcami tychże jakości. Sprawa jest poważniejsza - jest to sprawa istoty komedii. Owszem, w tego typu jajcarstwach, co są na krawędzi farsy - słowa, gesty, intonacje i charaktery należy wtlaczać w lekką przesadę. No właśnie, chodzi o to, by przesada była tylko - lekka. W sztuce Miro Gavrana obywatel Warszawy pojawia się w emigracyjnej norze śląskiego chłopka-roztropka, niejakiego Zeflika (Andrzej Franczyk), by rozwiązać problem upokarzający. Oto niewiasta kre-

tynów z nich zrobiła - od czterech lat, będąc pracownicą Warszawy pociągów międzynarodowych, jest małżonką Edmunda i Zeflika zarazem.

Tak, wystawiając ten uroczy bałat w teatrze, wręcz należy „przesterować” postacie. Ale w istocie bój idzie o to, by - nie przesterować przesterowania. By, pomimo farsowości, być po stronie życia, nie po stronie taniej burleski. Bo tylko wtedy przychodzi śmiech prawdziwy.

Piszę o mistrzowskiej etiudzie Stramy, bo tak naprawdę cała jego rola jest właśnie taka - „przesterowana” wyjątkowo delikatnie, czyli w stronę prawdy, a nie w stronę sztuczności. Niestety, Franczyk, partner Stramy, jest po stronie burleskowej sztuczności zbyt często i zbyt intensywnie, by tego zgrzytu nie zauważyć. Strama do Sasa aktorskiej cienkości, Franczyk do lasa kubłów. Zwłaszcza tutaj, na maleńkiej scenie Pod Ratuszem, gdzie teatralną iluzję masz pod nosem, trudno tę Franczyka majestatyczną koturnowość przeoczyć. Po cóż tyle sążnistości? Po diabła ta aktorska poetyka wiecu w byłej Hucie Lenina? Te prawie pękające na szyi żyły, te infernalne ryki, ten bazylijski wytrzeszcz oczu, pot ten i to zgrzytanie zębami - po diabła było to panu potrzebne, panie Tomasz Obaro? O przesterowanie Franczyka pytam reżysera - bo niby kogo mam pytać? Pytam Obarę i pytam namiętnie, bo przecież Franczyk przesadza zaledwie w czterech, no, może w sześciu sekwencjach. Ten nadmiar można jeszcze po prostu wyheblować. Niechaj, błagam, całość będzie jak drugi akt, gdy nieomylna dłoń Stramy co raz to sunie taktownie ku kielonkowi, Franczyk zaś się taktownie nudzi, gdyż z klasyczną dla siebie błyskotliwością - wychylił już.

**Teatr Ludowy, Scena pod Ratuszem. Miro Gavran „Mąż mojej żony”. Reżyseria Tomasz Obara. Scenografia Anna Sekula.**